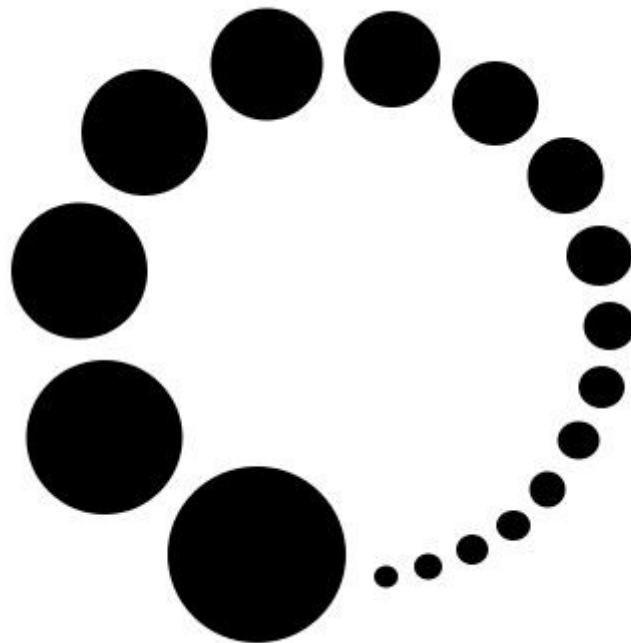


Plot Pulchopny

Ojczyzna
Naród
Patriotyzm



powered by Ruah E!

e-book darmowy przeznaczony do korespondencji e-mailowej

Rozróżnienie jest proste, oczywiste i bardzo intuicyjne. Patriotyzm to miłość do własnego narodu, a nacjonalizm, jako jedna z form zbiorowej ksenofobii, jest tylko nienawiścią do narodów obcych...

autor

Wstęp

Książka ta powstała jako odpowiedź na wezwanie jednego z czołowych polskich polityków, który stwierdził, iż książka taka powinna powstać, gdyż w Polsce jest wiele książek, które w danym momencie powstać powinny, a tak naprawdę nigdy nie powstają.

Spróbujemy w niej odpowiedzieć na bardzo palącą potrzebę dogmatyzacji pewnych pojęć, a więc nie będzie to z całą pewnością książka bogata w felietony i wywiady z ludźmi, którzy coś tam rzekomo uważają na ten temat. Będzie to książka młodego pokolenia, tak zwanego „pokolenia remontu”. Określenie to pochodzi z piosenki najwybitniejszego polskiego rappera L.U.C.

Pokolenia remontu urodzonego tuż przed stanem wojennym, które to pokolenie miało ten niekłamany przywilej obserwować wszystkie najważniejsze przemiany w Polsce i na świecie, a to, co się wtedy działo, było czymś o wiele bardziej znaczącym, niż kolejna zapisana karta historii.

Co tu dużo mówić – nigdy tak naprawdę pokolenie remontu nie dojrzało i wrzucone w realia nowej rzeczywistości stworzyliśmy nową Polskę, gdzie nikt nie pozwala nam zająć zdania. Dlaczego? Byliśmy niby zbyt młodzi, aby cokolwiek zrozumieć, co niestety zaciążyło na odbiorze naszego pokolenia jako niezdolnego do podjęcia odpowiedzialności za lepsze jutro.

Zajęliśmy się tworzeniem Polski na wzór, obraz i podobieństwo USA, a wiedzę tą czerpaliśmy tylko i wyłącznie z komercyjnej sztuki, jaką

serwowało nam Hollywood. Jakie było nasze zdziwienie w erze Internetu, gdy dowiedzieliśmy się, iż Ameryka wcale tak nie wygląda. Amerykanie nie rozumieją nawet wartości, które pokazywane są w tych filmach, książkach, czy muzyce, a samo życie w USA jest na tyle od tej sztuki odległe, że jedyny wniosek cisnący się na usta powstać może tylko w sposób naturalny i organiczny – USA pokazuje nam życie, za którym tak naprawdę tęskni i którego tak naprawdę w ogóle nie ma. Ich złudzenia są, były i zapewne już na zawsze będą motorem naszej moralności, marzeń, czy umiejętności odnajdywania perspektyw w przyszłości. Po prostu nadziei.

Moje poglądy to poglądy bardzo centrolewicowe, jednak obecny obraz centrolewicy, jako zrebrandingowanej lewicy, z antyklerykalnymi i proskrobankowymi tezami bardziej zbliża mnie do środowiska Prawa i Sprawiedliwości, niż do Platformy Obywatelskiej, polskiej lewicy, czy innych egzotycznych ugrupowań. Powstających zresztą tylko dlatego, iż grupa zjaranych jajogłowych od „okrągłych kart do głosowania” (najprawdopodobniej w ślimaczki o różnej wielkości) postanawia raz na jakiś czas udowodnić, iż Rzeczpospolita Polska to jeden wielki przepracowany i sympatyczny projekt. Sam jestem omnibusem i mam raczej niskie zdanie o poglądach typu „bądź dobry w jednym, gdyż jeśli będziesz próbował być dobry we wszystkim, nie będziesz dobry w niczym”. Bycie omnibusem to jednak zajęcie na pełen etat.

Już na wstępie zwrócę uwagę na kilka rzeczy, które mnie, jako człowieka żyjącego w powiecie, w którym operuje się najczystsza formą polszczyzny (co jest umotywowane historycznie) najbardziej razi. W tej książce używać

będziemy poprawnej formy pisania słowa „Internet”, czyli pisać to słowo będziemy od dużej litery. Słowa Rzeczpospolita, albo Rzeczypospolitej, które nawet przez najwyższej rangi polityków odmieniane są błędnie, odmieniać będziemy prawidłowo, czyli zgodnie z zasadą Rzeczy-pospolitej, ale Rzeczpospolita, choć również np. Rzecz-pospolitą. Istotnym dla mnie jest zawsze ważny apel Polaków, gdzie pewna forma naszej tytułomanii bodzi czyjeś serca, uszy i umysły. Wszędzie tam, gdzie będziemy mówić o byłym Premierze, czy byłym Wicepremierze, taka osoba przedstawiana będzie z funkcją polityczną, którą naprawdę pełniła, a której już nie pełni. Były, czy obecny wicepremier nie będzie więc tytułowany Premierem, bo to właśnie ta tytułomania. Tam zaś gdzie pojawiłaby się jednak pokusa powiedzieć „były Prezydent”, będziemy uważać tą formę za wyjątkowo niepoprawną. Otóż Polska w 1989 roku podczas postanowień okrągłostołowych przyjęła szereg regulacji, również pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Na mocy tych porozumień, pierwotnie dla nas z USA, Tytuł Prezydencki jest niezbywalny i Prezydentem jest się nawet po śmierci. Odróżnia to Tytuł Prezydencki od innych funkcji politycznych. Oczywiście zgodnie z naszą Konstytucją Prezydent ma prawo maksymalnie do dwóch kadencji, ale to, że już po jednej, czy dwóch kadencjach urząd ten sprawuje ktoś inny, nie zmienia faktu, iż jeśli ktoś raz został Prezydentem Rzeczypospolitej Polski będzie tym Prezydentem już zawsze.

Użyłem tu formy „Rzeczypospolitej Polski” z rozmysłem, gdyż formę „Rzeczypospolitej Polskiej” uznaję za niepoprawną, a wręcz nieprawidłową. W tym układzie rzeczownik ma pierwszeństwo nad przymiotnikiem, ale

rzeczowniki powinny być tu dwa: „Rzecz” oraz prawidłowo „Polska” też powinna być tu rzeczownikiem, gdyż żyjemy w Polsce, a nie w „czymś tam polskim”. Nie jest bowiem tak, że nagle, ni stąd, ni zowąd My, Polacy, chwyciliśmy w garść tą rzecz i jest ona taka pospolita i jakaś taka „polskowata”. Rzeczownik „Polska” ma tu więc pierwszeństwo nad rzeczownikiem „Rzecz”, a stąd prawidłowo powinniśmy mówić np. „tej Rzeczypospolitej Polski”.

Padną tu też zwroty z nietypowym zaprzeczeniem typu „co by się nie stało” i choć wiem, iż całkiem inaczej uważa Profesor Miodek, zwrot ten uznawać będziemy za poprawny. To, że zaistniał w przestrzeni języka polskiego wynika z faktu reakcji polskiej młodzieży na masową naukę języka angielskiego od lat 90. i kontrast pomiędzy naszym podwójnym zaprzeczeniem, a brakiem takowego w języku angielskim.

Ta książka traktuje o pewnym kole ratunkowym dla całej polityki. To nie pytanie do publiczności i to nie „pół na pół”. To raczej telefon do przyjaciela. My wszyscy, również Polacy, żyjemy w czasach, gdy fakt konieczności zamiatania spraw pod dywan i uszanowania tajemnicy państwowej dla ratowania całego narodu, dodatkowo w atmosferze zasłony dymnej, zapchał nas w ślepy zaułek. Zaczęliśmy tak łatwo nawykać do usprawiedliwień kłamstwa, że nawet Ci najbardziej sprawiedliwi wśród nas nawet nie dostrzegają jak bardzo ta rzeczywistość pchnęła ich w pęta hipokryzji. Niestety nie potrafimy odróżnić dziś białego od czarnego, a tym bardziej wgłębić się w istotę barw i kolorów, twierdząc, iż wszystkie nasze „wrażenia” są złudą, którą należy przeprogramować dla bycia innym i

rzekomo lepszym człowiekiem. Tak... sól przestała być już słona i nie ma jej czym w tym przypadku dosolić. Myślę, iż podzielam zdanie wielu osób z mojego pokolenia, iż w całej tej chmurze pełnej emocji... gdzieś tam, tam gdzie szukać trzeba, jest prawda. Prawda, którą trzeba odnaleźć i to właśnie tą prawdą należy się sugerować przy dokonywaniu wyborów. Argumenty „a dlaczego tak, a nie inaczej” po prostu do wielu z nas już dziś nie docierają.

Poniekąd spamowanie przestrzeni publicznej wciąż narastającymi popsutymi pomysłami na Polskę w copywriterskim opakowaniu nawiązującym do czegoś, co w tym opakowaniu kiedyś było, a czego już tam nie ma, przypomina mi bardziej sytuację, w której część wschodzących polityków pragnie zdobyć nasze poparcie, gdyż tak zapierdzielają z taczka, że nawet im się z niej nie wysypuje. Niestety nie mają tej taczki czym załadować. Nie ma niby na to ani czasu, ani pieniędzy. Tym czymś, czym należałoby „załadować tą tawkę” są niestety ideały, a tych, również niestety, w Polskiej polityce coraz bardziej dziś brak. Mamy tu kryzys ideałów, a to one są motorem polityki. Czym więc są i po co są te ideały?

Odpowiemy na te i wiele innych pytań, a przede wszystkim przebrniemy przez obraz propozycji pojmowania tego świata. Podważymy wszystkie ugruntowane przez establishment poglądy i zaproponujemy alternatywę. Podstawowe jednak pytanie, które dziś w Polsce musi zostać odpowiedziane – czy w ogóle jest nam potrzebny patriotyzm, ojczyzna i naród, zostanie jednak odpowiedziane pozytywnie. Tak odpowie osoba, która przede wszystkim jest egalitarystą i eklektykiem. Jak to możliwe? No właśnie... zapraszam do zapewne wciągającej lektury.

Rozdział I

Czym naprawdę jest NACJONALIZM?

Zacznę przewrotnie. Być może od końca, ale chyba tak naprawdę od chronologicznego początku. Zacznę od szympanów i naszej ewolucji z tego gatunku, gdyż chciałbym rzucić tu pewne nowe światło. Proszę Cię drogi Czytelniku przebrnij przez tą część lektury, gdyż każdą skomplikowaną strukturę zaczyna się tłumaczyć od jej organicznych podstaw.

Wiele dyskusji przetoczyło się na temat teorii ewolucjonizmu, czy darwinizmu, jednak pragnę podkreślić, że to nie Darwin wpadł na to, co określa się dziś mianem darwinizmu. Rzekomo wpadł na koncepcję, gdyż był wybitnym podróżnikiem i pewnego razu przechadzając się po plaży i obserwując żółwie... no cóż większość z nas pewnie zna tę historyjkę, tak promowaną przez pewne środowiska, ale zmartwię właśnie te środowiska... to wszystko bzdura.

Darwin był takim ówczesnym Niesiołowskim. Również z temperamentu. Naukowcem typu „taboret, kaloryfer i drzwi”. Jego praca naukowa polegała wyłącznie na obserwowaniu robaczek, których zresztą miał w swoim gabinecie okazałą kolekcję. Nigdy zresztą nigdzie nie podróżował, nie licząc chyba podróży w wiadomym celu. Wszyscy to robimy. Całą teorię niestety ukradł Alfredowi Russelowi Wallace’owi, który mu się sprytnie podłożył, bo jako osoba „spoza środowiska” nie miał inaczey szans na wypromowanie tak ważnych rewelacji. To właśnie ten ostatni był podróżnikiem, a obaj o sobie

wiedzieli tyle, iż chcą opracować teorię życia na Ziemi niezależną od tez zawartych w Biblii. Wallace był jednak człowiekiem wierzącym.

Wallace oczywiście korespondował z Darwinem, który najpierw nie uważał go za poważnego oponenta, potem starał się go zbyć, następnie za wszelką cenę zniechęcić, a kiedy doszło, do tego, do czego doszło, przerażony i wściekły zmuszony został przez znajomych z uczelni opracować pierwszą wspólną pracę pod dwoma nazwiskami. Oczywiście szybko ją przemilczano. Traktuje o tym świetnie dokument „Wallace in Borneo” oraz „Wallace in Spice Islands”, dostępny zresztą w Internecie. Gorąco polecam. Dziś środowisko naukowe, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii bardzo rehabilituje wpływ Wallace’a na powstanie teorii o ewolucjonizmie, która niestety w darwinowskiej formie, choć bardzo prostej i sympatycznej, nie jest do końca prawdziwa.

Co bowiem oznacza, iż dana populacja wydaje na świat nowe pokolenie z genotypem zmienionym w sposób drobny i przeżywają tylko te osobniki, które potrafią dostosować się do otoczenia? Oznacza to tyle, iż jeśli jakiś gen został zmieniony w przypadkowej mutacji, a gen ten odpowiada za jakieś konkretne białko, w znakomitej większości przypadków będzie to gen uszkodzony i z niemal nieskończonej liczby możliwości form, jakie dane białko może przybrać, w większości przypadków gen ten okaże się cechą letalną, czyli prowadzącą do śmierci (statystycznie większość ludzi ma jedną cechę letalną, a dopiero dwie i więcej najczęściej prowadzą do śmierci). Owszem, raz na jakiś czas taka drobna zmiana okaże się pozytywna, jednak środowisko naukowe każe nam zaiste WIERZYĆ, iż teoria ta jest jedyną,

która buduje życie na Ziemi. Życie na Ziemi jeszcze od czasów koacerwatów, czyli protoplastów komórek, a tak naprawdę banieczek mydlanych zbliżonych do dzisiejszych komórek.

Pokażę Ci drogi Czytelniku, iż zasada „przeżyją tylko najbardziej przystosowani” ma o wiele szersze spektrum, a sama Natura, zawsze mądrzejsza od człowieka (niektórym z nas to zapewne osobiście powiedziała), czasem swymi prawidłami jest tak niepokorna, że naukowcy za wszelką cenę starają się pewne rzeczy przemilczeć.

Jakiś czas temu, pewna grupa naukowców zaobserwowała pewne zjawisko w genetyce. Występuje ono bardzo rzadko, ale ma o wiele bardziej znaczące konsekwencje, niż sam darwinizm. Raz bowiem na pewien czas w danej populacji pojawia się osobnik, bądź osobnicy, którzy cechują się bardzo poważną zmianą genetyczną, która jest swoistym zespołem genetycznym. Znamy takie zespoły, a najpopularniejszym jest chyba Zespół Downa. Jednak ten sam mechanizm powoduje, że raz na jakiś wyjątkowy czas dochodzi do takiego zespołu genetycznego, który jest bardzo pozytywny i pozwala danemu osobnikowi nie tylko przejąć kontrolę nad własną populacją, ale też na przykład zamienić gatunek na wymarciu w gatunek ekspansywny o szerokich perspektywach. Naukowcy nazwali teorię o takim zjawisku „teorią o supermutantach”. Oczywiście nie chodzi tu o iksmenów, ale o organizmy żywe bardzo różne genetycznie od swoich poprzedników, które potrafiły o wiele lepiej „wziąć sprawy w swoje ręce”, niż ich rodzice. Oczywiście, można powiedzieć, że to też pewien wariant darwinizmu, ale choć

omówimy pewne konsekwencje tej teorii, to powiemy i o innych teoriach... które ukształtowały nie tylko człowieka.

Wiem... zabrzmiało to jak jedna wielka niewiadoma, budowana na jednej wielkiej niewiadomej i dziś wolimy „wierzyć”, że człowiek i szympanś mieli wspólnych przodków. Tak jednak najprawdopodobniej nie było i człowiek pochodzi bezpośrednio od szympanśa, na co znaleźć dziś można dowody. To, co najważniejsze, to fakt, że to właśnie szympanśy, jako pierwsze naczelne opracowali mechanizm wojen. Tych, które znamy do dziś i mechanizm ten jest unikalny, gdyż tylko ludzie i tylko szympanśy prowadzą wojny w tak unikalny sposób. Tylko u szympanśów po raz pierwszy pojawia się spójny, nadrzędny i celowy obraz tego mechanizmu z jednorodnym zamysłem. Identyfikacyjny z tym ludzkim. Jakoś ciężko mi sobie wyobrazić, iż kolejne pokolenia przodków szympanśów zapewniały przeżycie tylko młodym o lekko zmodyfikowanych białkach celem uzyskania takiego efektu. Podobnie zresztą zapewne setki kotów, zanim nauczyły się lądować na czterech łapach, tuż po urodzeniu zapewne robiły test swoim młodym wysyłając je na skarpę i testując, czy odpowiednie białko ukształtowało się wystarczająco dobrze, aby na te cztery łapy spaść. A co stało się z kotami, które miały te białka prawie dobrze skonstruowane? No cóż, prawie robi różnicę i to „prawie” zamieniło się niestety w zgon, a więc nie zdołały przekazać swojego wybitnego dorobku przyszłym pokoleniom celem dokończenia dzieła... No chyba że ówczesne koty rozumiały, iż trzeba pójść na ustępstwa i rozłożyły projekt na kolejne etapy. W pierwszym testowały umiejętność

spadania na jedną łapę, w drugim na dwie... i tak dalej... i tak dalej...

Odpowiedź oczywiście jest. Jeszcze w tym rozdziale.

Odpowiedź jednak nie jest tak do końca prosta, jakby chcieli tego naukowcy.

Omówimy rozróżnienie na analogowy i zdigitalizowany sposób myślenia

człowieka, gdyż oba te sposoby mają swoje silne i słabe strony. Poniekąd

obecna forma darwinizmu, choć oczywiście prosta, syntetyczna i jako taka

bardzo estetyczna, jest pewnym pomysłem na pojmowanie rzeczywistości, a

każdy pomysł ma swój potencjał i żaden nie jest złotym środkiem. Darwin

założył, iż całe życie wzięło się z jednej komórki, która była protoplastą

całego życia i tylko w takim przypadku teoria ta ma sens. Skąd więc wzięła

się ta pierwsza komórka? Cedowanie odpowiedzialności na wszechświat i

twierdzenie, że (jest to teoria „pangenezy”) przybyła tu z innych planet nie

tłumaczy skąd wzięło się życie na tamtych planetach. Teoria Darwina jest

rzeczywiście bardzo dobrym przybliżeniem rzeczywistości, ale dziś

posiadając tyle narzędzi do obserwacji, również dostępnych amatorom

dostrzegamy, że „coś tu do końca nie halo”. Można owszem narysować sobie

na kartce komórkę i drzewo genealogiczne i rozbazgrolić się po bazylionach

elaboratów rysując coraz bardziej zmyślne diagramy, ale problem pozostaje

wciąż ten sam. Czy darwinizm jest rzeczywiście jedynym spojrzeniem na

ewolucję i czy czasem jedyną prawdziwą tezę ewolucjonizmu jest

obserwacja Wallace’a, iż „przeżyją najbardziej przystosowani”. Oczywiście

sam Wallace nie zdawał sobie sprawy, że wcześniej na te słowa wpadł

pewien wiktoriański wizjoner, który w ogóle ich nie rozumiał.

Aby unaocznić to, co chcę przekazać, posłużę się pewnym przykładem.

Założmy, że gdzieś tam, hen, hen daleko... jest planeta podobna do naszej. Mieszkańcy nazywają ją Planetą Nabullo, a że w całym wszechświecie oficjalnie obowiązującym językiem jest Język Polski, nie będę miał zapewne problemów z tłumaczeniem. Dawno, dawno temu pojawił się tam wielki wizjoner, któremu cała planeta zawdzięcza swą świetność, gdyż przebranzowił on tamtejszą gospodarkę na hodowlę zwierzyny kuropodobnej, zwanej tudzież w skrócie „kurą”. Utytułowany wszelkimi nagrodami o potężnym i najbardziej poważanym dorobku piśmienniczym, zmarł. Gdy jednak umierał powiedział krótkie słowa. Powiedział, że jeśli jest jajo, to jest też i kura, i tylko i wyłącznie kura. Jeśli zaś mamy do czynienia z kogutem, to to też jest niestety kura, tyle że na odwrót. Teoria ta stała się podstawą wszelkich rozważań i dociekań na Planecie Nabullo, a także ukształtowała tamtejszą etykę, oraz postawę moralną wszystkich młodych Nabulloniczan (którzy nazywają nas zresztą „Ziemniakami”). No może prawie wszystkich. Kiedyś, bliżej nam, Albert Einstein powiedział te oto słowa: „Wszyscy wiedzą, że coś jest niemożliwe, aż pojawia się taki ignorant, który o tym nie wie i udowadnia, iż to jednak jest możliwe”. Teza ta prawdziwa stała się również na Planecie Nabullo. Odwieczny i nierozwiązywalny paradoks, czyli „co było pierwsze, jajo czy kura”... temat dociekań tamtejszej nauki nad sumą wszystkich niemożliwości został niemal „zgwalcony” przez pewnego dyletanta na tamtejszym portalu społecznościowym www.fokoszop.pl (którego podstawą są łapki w dół). Dyletant ten bluźnierczo wręcz, niczym „tymczasowy brutalista” rozwiązał ten problem wymierzając policzek wszelkim najpoważniejszym

autorytetom. Uczynił to w słowach: „Co było pierwsze? Jajo czy kura? Jajo było przecież zawsze, a kura nie. Sama zaś kura jest tylko półproduktem ubocznym w produkcji jaj”.

Przykład ten pokazujący w pewnym ślupsticku spojrzenie z dystansu na to z jaką „zatwardziałością” podchodzimy do tez wydających się nam swoistą świętością może też być dobrym przykładem na to, że nie tylko nawet najlepszy pomysł ma ograniczony potencjał, ale też na to, że również sam wszechświat zawsze będzie potrzebował „świeżej krwi”, czyli nowego spojrzenia na jedną i tą samą, odwiecznie starą sprawę.

Choć nie jest to książka z biologii, to jednak temat przemian – natychmiastowego skoku z niebytu w stronę czegoś bardzo złożonego będzie w niej określony. O dziwo ma dla nas w tej pracy istotne znaczenie. Pytanie bowiem jak to się dzieje, że coś wybitnie złożonego pojawia się w rzeczywistości i istnieje tylko dlatego, że istnieje jako całość, a bez tej „całości”, czyli pewnej komplementarności w ogóle by nie istniało, nie może być odpowiedziane tak, że jeśli Dżon Kołolsky jest potentatem puddingu czekoladowego na cały świat, to firma jest liderem tylko dlatego, iż jej prezes i jedyny pracownik siedzi non-topper w Las Vegas i rżnie w ruletkę.

Wracając jednak do tematu.

Wspomnieliśmy o największej zdobyczy genetycznej szympanów. O mechanizmie wojen. Co jednak oznacza taki mechanizm wojen w przypadku szympanów? Oznacza on tylko tyle, że za każdym razem, gdy w populacji szympanów pojawia się osobnik inny, a często silniejszy, jest on eliminowany. Stąd ewolucja szympanów w kierunku człowieka jest

teoretycznie z tej perspektywy niemożliwa i same szympanasy mają praktycznie te same geny od milionów lat. Podobnie zresztą muchy, czy ameby nie zmieniły się genetycznie przez co najmniej setki milionów lat, ale już z innych przyczyn.

Jest jednak pewien wyjątek i jest to teoria o supermutantach. Jeśli bowiem pojawił się w populacji osobnik z tak poważną i pozytywną zmianą w genotypie, że zdołał tą grupę zdominować pomimo walki (przypomnę - wojny) z całą populacją, to taki osobnik przedłużył swoją linię genetyczną, spłodził młode i był na tyle bardziej dostosowany do otoczenia, iż dał początek nowej linii... w tym przypadku pierwszych humanoidów, a humanoidem jest i człowiek.

Na przestrzeni dziejów było takich humanoidów wielu i najprawdopodobniej gatunki te mieszały się, ale o tym później, gdyż również nie jest to popularny pogląd. Sam człowiek pierwotny miał tę przewagę, iż rozumiał o wiele więcej i to najprawdopodobniej większa inteligencja spowodowała, że wydostaliśmy się „z pierwotnego gniazda”. Można to wywnioskować po tym, iż już od samego początku człowiek pierwotny rozumiał, że najlepiej jest się osadzać przy akwenach wodnych (co ukształtowało w nas rozumienie konieczności migracji), czy też zabiegać o to, żeby było, a nie o to, żeby nie było. Wiemy, iż jedne z pierwszych humanoidów żywiły się pierwotną formą cebuli i zapewne potrafiły zabiegać o to, aby ta cebula w brzuskach się pojawiała. Były do tego potrzebne pierwotne narzędzia i myśl, która dała nam przewagę nad szympanasami. Sam

szympans potrafi na przykład przygotować sobie patyczek, którym wyjada mrówki, co uznajemy już za jedno z pierwszych narzędzi.

Humanoidów było wiele, a sam homo-sapiens, gdy się pojawił, wcale nie był najsilniejszy, ani najbardziej inteligentny. Jakies 200 tys. lat temu coś się zmieniło. To bardzo znamienita zmiana, więc być może znów zaczę swoją manierą od końca.

Pewien eksperyment pokazuje do czego zdolne są szympansy. Kobieta w towarzystwie z szympansicą trzyma za plecami kolorowy plecak, który zwraca uwagę szympansicy. Szympansica jednak nie podejmuje prób jego natychmiastowej grabieży, ale bawi się z właścicielką plecaka. Kiedy obie są tak zaabsorbowane zabawą, że obie stają się rozkojarzone, szympansica odwraca uwagę właścicielki plecaka i ten plecak kradnie, a następnie ucieka z nim na drzewo. Niby nic, a jednak. Eksperyment ten udowadnia trzy rzeczy: szympansy mają wyobraźnię, szympansy potrafią planować, szympansy potrafią myśleć abstrakcyjnie. Człowiek pierwotny również miał wszystkie te zdobycze, z czasem zdobywając (również dzięki genom) poczucie zbiorowej moralności, co umożliwiło mu na przykład budowanie grup społecznych na zasadzie miast. Jednak dopiero człowiek rozumny, czyli homo sapiens, nie będący dominującym humanoidem, około 200 tys. lat temu posiadał zdobycz genetyczną pozwalającą mu opanować cały świat i wyprzeć wszelkie inne formy wspomnianych humanoidów. Choć mieliśmy jeszcze od czasów szympansów wyobraźnię, to jednak dopiero wtedy zdobyliśmy fantazję. Tak. Fantazję.

Czym jest owa fantazja? Dlaczego jest tak istotna? Każdy z nas potrafi sobie wyobrazić, iż wyobraźnia to po prostu umiejętność zwizualizowania sobie np. „kto, co, jak, gdzie, kiedy i dlaczego”. Też można mieć wiele, ale wyobraźnia to po prostu nic innego, jak umiejętność zwizualizowania sobie konkretnie... czegokolwiek! Czasem nawet w dość abstrakcyjnej formie. Dziś oczywiście wiemy, iż nawet szympansy to potrafią. Fantazja jest jednak czymś innym. Jest na przykład zmorą buddystów... że tak zażartuję. Dziką małpą, która biega nam po umyśle, w tę i z powrotem, nie pozwalając nam się skupić na medytacji. To jednak nie jest jej dobra definicja.

Fantazja to umiejętność reakcji wyobraźni na stany emocjonalne człowieka. Innymi słowy, jeśli coś w danym momencie czujemy, a to co czujemy wywołane jest po części nie tylko przez to, co czuliśmy wcześniej, ale także reakcją naszej wyobraźni na przeszłe uczucia, to terazniejszy stan emocji zbudowany na wcześniejszym doświadczaniu wspomnianych wrażeń – powoduje terazniejsze emocje i terazniejszą reakcję naszej wyobraźni na właśnie te emocje. Trochę to trudne, ale trzeba przez to chyba przebrnąć, aby zrozumieć „zdeczko” więcej. Ani szympansy, ani pierwotne humanoidy takiej umiejętności nie miały. Poniekąd to właśnie ta umiejętność pozwoliła nam stworzyć sztukę, pierwotne formy religii, a także wyspecjalizowaną broń, czy narzędzia. Potem zaś wytrzebić w pień wszystkich humanoidalnych konkurentów. To, co odróżnia nas np. od szympansa, czy pierwszych humanoidów to fakt, że „ni z gruchy, ni z pietruchy” nagle pojawia nam się w głowie jakaś fajowska koncepcja i pragniemy nią zarazić wszystko i wszystkich. Oczywiście oprócz tego, że aby wypromować tą ideę

wciąż musimy liczyć się z mechanizmami wojny wśród współplemieńców, odziedziczonymi jeszcze po szympansach. Ta jednak fantazja decyduje o tym, że rodzaj, powtórzę – rodzaj, a nie „gatunek ludzki”, nie jest już w żaden sposób zwierzęciem, choć genetycznie wywodzimy się od szympansów.

Jeśli przyjąć, że człowiek jest niby zwierzęciem, to równie dobrze moglibyśmy powiedzieć, że grzyby to rośliny, a wirusy to organizmy żywe. Choć życie na Ziemi wywodzi się z koacerwatów i całe życie kiedyś skupiało się na powstaniu pierwszej formy zbliżonej do komórki, to jednak nawet systematyka roślin i zwierząt jest inna, a sam człowiek nie dzieli się na rasy, jak zwierzęta (rośliny również nie dzielą się na rasy), a wśród nas występują tylko i wyłącznie grupy etniczne. Co w dalszej części rozwinę, gdyż jest po temu powód. Istotny zresztą z punktu widzenia naszych rozważań. Wkrótce okaże się to o wiele bardziej zrozumiałe.

No dobrze... w porządku... powiesz Czytelniku, który postanowiłeś tą książkę przeczytać. Książka jednak nosi tytuł taki, jaki nosi i w pierwszym rozdziale miałeś się dowiedzieć czym naprawdę jest nacjonalizm, a jak na razie rozważamy jakąś tajemną wiedzę o żółwiach, amebach, kotach, czy szympansach. Więc być może zanim przejdziemy do nietoperzy...

Jeszcze raz więc... Otóż mój drogi, moja droga... W dzisiejszym świecie łatwo jest, zwłaszcza gdy jest się kimś z potwierdzonym autorytetem, serwować światu górnolotne definicje pojęć na tyle abstrakcyjnych, iż każdy jakoś je czuje, a jednak nikt do końca nie potrafi zejść do tego wspólnego mianownika, który nadaje wszystkim tym definicjom kształtu. Owszem,

można na przykład biorąc na tapetę słowo „integracja” próbować je zdefiniować w wielostopniowej skali, napisać na ten temat elaborat i poddać pod dyskusję szerokiemu gremium naukowemu. Naukowcom, którzy nie tylko się myślą, ale także pragną dopuszczać do takiej naukowej dyskusji tylko tezy tych naukowców, którzy mylić chcą się tak samo, albo nawet bardziej. Ta praca ma być jednak inna. W tej pracy pokazując Ci drogi Czytelniku skąd wzięły się u nas pewne potrzeby, będę próbował przejść dalej i niestety mam nadzieję odjąć trochę kromek chleba od obrzydliwie przejeźdzonej nauki korporacyjnej tego świata. W tej pracy przejdę dalej w kierunku języka abstrakcji, umożliwiającą nam definiowanie pojęć, nie zmąconych manierą pisania dla akceptacji wąskiego gremium naukowego.

Już teraz pojawia się pierwszy wniosek. Cecha, którą odziedziczyliśmy po szympankach, czyli mechanizm wojen, umożliwiający nam tępienie wszystkiego tego, co od nas obce, jest cechą, do której jakoś każdy przyznałby się ze wstydem, albo nie chciał się do niej przyznać wcale. Jednak właśnie ta cecha była najważniejszą cechą kształtującą naszą przeszłość, naszą historię jako człowieka. Sam nacjonalizm jednak z drugiej strony, jako zbiorowa ksenofobia konieczna w mechanizmie wojen, choć z jednej strony mógłby być wywyższony jako źródło wszelkiej ciągłości historycznej, to z drugiej strony może być też uważany za przyczynę wszelkich naszych dzisiejszych problemów. Problemów wynikłych z tego, iż wciąż traktując się jak zwierzęta, wracamy do bycia tymi zwierzętami, chociaż jako homo sapiens, czyli z nazwy „człowiek rozumny” już tymi zwierzętami nie jesteśmy. Nie jesteśmy tak naprawdę od momentu

ukszałtowania się w przestrzeni naszej świadomości tak naiwnej wartości, jaką jest fantazja.

Tak więc takie rozważania o amebach, szympansach, kotach i żółwiach, a być może nawet i nietoperzach w tej książce są paliwem do kreowania takich i podobnych wniosków, których nie da się sformułować bez wcześniejszego wprowadzenia. Problem jednak pozostaje – czym naprawdę jest ten nacjonalizm?

Zapewne domyślasz się Czytelniku, że i tu posłużę się pewnym tłem pojęciowym. Również w tym przypadku będzie ono wywodzić się z biologii. Dzięki temu tłu przejdziemy dalej, bo choć koszula bliższa ciału, to ryba jednak psuje się od głowy, a więc aby nie potraktować problemu po łebkach, trzeba umotywować go zejściem na optymalnie niski poziom języka abstrakcji. Musimy zejść do źródła, wrócić do korzeni i odnaleźć wspólny mianownik, budując stabilną konstrukcję myślową na solidnym piedestale.

Jak to mówił klasyk: „Grunt to Ziemia!”, chociaż inny klasyk w dyskurs powtarzał „Fizycy, zejźcie na Ziemię. Tą Ziemię... choć są na właśnie tej Ziemi i na tym Niebie rzeczy, które się fizjonomom nie śniły”.

Wszystko, o czym tu piszemy, jest istotne z punktu widzenia naszych dalszych rozważań i wszystko o czym tu mówimy prowadzi do pewnego spójnego obrazu. Ważne, aby ten właśnie obraz zaistniał w przestrzeni publicznej i został poddany dyskusji, gdyż obraz ten odpowiada na palące potrzeby określenia się Polaków i Polski nie tylko w stosunku do naszego upodmiotowienia, ale i poszanowania tego, czego z powodu nieznamości nie rozumiemy. Nie tylko zresztą My.

Zacznijmy najprościej jak się da. Tym razem od początku, czyli „Auf Buten machen”. Zdaje się, że w XVI wieku (wujek, który studiował na Akademii Rolniczej miał kupę książek, między innymi z Biologii, ale dziś już ich nie ma, więc nie dojdę i właściwego wieku i nawet nazwiska kogoś, kogo dzieło będę opisywał) pewien angielski Lord i wizjoner wpadł na genialny pomysł. Oczywiście nauka korporacyjna wtedy nie istniała, a więc tytułem wstępu... Nauka owych czasów wyglądała tak, że jak był statek i ludzie w długich wyprawach zaczęli cierpieć na choroby związane z niedoborem witaminy C (wypadanie zębów na przykład, a potem na przykład zgon), to pojawiał się ktoś, kto zabierał w podróż 12 „ochotników”. Dwóm serwował ocet, dwóm ich własną urynę... itd. itp., a dziwnym zbiegiem okoliczności, żeby nie było zbyt brutalnie dwóm dla dowcipu dawał owoce cytrusowe. Nie wiedzieć czemu tych właśnie dwóch przeżywało i powstawał jakiś konkretny raport na ten temat. Nie była to więc z całą pewnością nauka korporacyjna, do jakiej dziś zwykliśmy, a jako taka miała wiele plusów (oprócz oczywiście prób mieszania nauki z tezami kabalistycznymi). Jednym z takich plusów była możliwość zajścia takiego „zdarzenia”, iż w Europie swego czasu zapanowała gigantyczna pandemia. Umierali praktycznie wszyscy, jednak wiadomo było, iż oprócz ludzi, na tą chorobę chorują również świnie. Pewien człowiek postanowił więc celem znalezienia lekarstwa na tą chorobę obserwować właśnie te świnie... Była to oczywiście trafna decyzja. Kiedy bowiem zaobserwował pierwsze objawy choroby u pewnej świni, nie wiedzieć czemu ta się wściekła, wyleciała z chlewu jak z procy i podbiegła do pobliskich krzaków, po czym zżarła pewną roślinę, a następnie

wyzdrowiała. Fakt autentyczny! Nie zalewam! Lekarstwo było właśnie w tej roślinie, a człowiek ten uratował Europę przed tą pandemią. Dziś nauka korporacyjna nie zajmuje się „studium przypadku” i żeby uznać taki dowód za wiarygodny w środowisku naukowym, należałoby pozyskać dane od co najmniej tysiąca świń, które tak samo po zachorowaniu wściekły się, wyskoczyły z chlewu, zżarły jedną roślinę i wyzdrowiały. To jednak też niestety nie byłby wystarczający dowód, gdyż aby zyskać poparcie szerokiego gremium naukowego, dowód ten musiałby być przeprowadzony niezależnie przez wiele środowisk naukowych i praca na ten temat nie musiałaby tylko spełniać restrykcyjnych wymagań w Unii Europejskiej, ale także zostać poddana szerokiej dyskusji na całym świecie. Zakładając, że w czasie, gdy kolejna połowa Europy by już wymarła, naukowcy niestety ostatecznie uznałiby, że taki środek zaradczy nie jest profesjonalnym sposobem załatwiania tego typu problemów, a więc to lekarstwo jest lekarstwem placebo, niestety uniemożliwiającym prawdziwe dociekania światowej nauki i jego ewentualne stosowanie stoi w sprzeczności... no taki sobie naukowy bełkot, który można wyczytać praktycznie wszędzie.

Wymagań nie było wiele i tenże właśnie angielski Lord z XVI wieku, bo jego historia jest tu najważniejsza, wpadł na rozwiązanie, którego owoce do dziś konsumujemy. No może nie dosłownie, gdyż kto by jadł np. „południcę z rumaka”? Tenże angielski Lord wpadł na genialny pomysł, iż weźmie to łyse, szczerbate i garbate coś, co biega po polu i nazywamy to „kuń”, a kuń jaki jest każdy widzi - to weźmie to i zamieni w rumaka wyścigowego. Śmieszne? Nie, jeśli się wie, jak to zrobić. Nie jeśli dzięki tej prostej w sumie koncepcji,

której do dziś nauka nie potrafi wytłumaczyć, a więc się nią nie zajmuje... te rumaki są jedną z najlepszych inwestycji finansowych ludzi obrzydliwie bogatych w obrzydliwie głębokich, skórzanych fotelach. Pomysł ten jest jeszcze większą kontrą do darwinizmu, niż teoria o supermutantach.

Koncepcja jest prosta i zweryfikowała ją rzeczywistość. Wizjoner ten po prostu zastosował naprzemiennie krzyżowanie bliskospokrewnione (inbred) z krzyżowaniem dalekospokrewnionym (outbred). Coś, co dziś moglibyśmy nazwać „pompą genetyczną inbred-outbred-inbred” (w dalszej części nazywać ją będziemy pompą genetyczną pierwszego rodzaju). Najprościej to ujmując nie stosował on naprzemiennie kazirodu i hybrydyzacji międzygatunkowej (jest to pompa genetyczna drugiego rodzaju), ale powiedzmy, że jeśli koń miał jakiegoś bardzo bliskiego kuzyna (albo kuzynkę), to najpierw angielski Lord doprowadzał do zapłodnienia w takim układzie, a gdy pojawiały się źrebięta, po osiągnięciu przez nie wieku dorosłego, doprowadzał do skojarzenia ich z trochę dalszymi kuzynami... i tak „w koło Macieja”. Do dziś nie wiemy dlaczego, ale praktycznie, niemal za każdym razem efekt genetyczny się w takim układzie ustawicznie poprawia. Dlaczego to istotne? Zaraz się o tym przekonamy. Powiem tylko, że dzięki zasadzie kazirodu-hybrydyzacja-kazirodu (kazirodu musi być zawsze w tym układzie pierwsze) można krzyżować ze sobą również różne gatunki, eliminując tym samym możliwość ich najczęściej przynajmniej częściowej bezpłodności i uzyskując coraz to lepsze wyniki genetyczne. W dzisiejszym świecie, z powodu ingerencji człowieka, której to ingerencji nie jesteśmy w stanie wyeliminować, wszelkie gatunki skazane są

na coraz to szybsze wymarcie, a sam wiek XX był erą największego wymierania gatunków w historii całej Ziemi. Hybrydy wykazują się o wiele większym wigorem i sprawnością i jako takie są w stanie zapewnić przetrwanie ekosystemu, od którego jesteśmy jako ludzie zależni. Niezależnie od tego, co się stanie, wymierania gatunków nie można powstrzymać, jeśli nie odważymy się na konsensus i nie zapewnimy łączenia się gatunków w hybrydy, tym samym umożliwiając przetrwanie dzisiejszych genów. Czy jest to sprzeczne z Naturą. Nie, co zaraz pokażę.

Również dziś toczy się odwieczna debata, o której za wszelką cenę chcieliby zapomnieć eugeniczy, czyli zwolennicy tez o rzekomo naukowo umotywowanym rasizmie. Czy dzisiejszy kształt genów człowieka zawdzięczamy również mieszaniu się genów pierwotnych form ludzkich, pierwotnych humanoidów. Argument według niektórych jest niby niepodważalny – mieliśmy różne gabaryty, i jeśli jedni byli mniejsi, a drudzy więksi, a większy i silniejszy gwałcił w wyprawie wojennej słabszą i mniejszą to kicha. Teraz jeśli ta mniejsza, również o mniejszej miednicy miała urodzić dziecko, to te podczas porodu nie przeszłoby przez miednicę i poród ten zakończyłby się zgonem. Rzekomo o ile doszłoby do zapłodnienia, to niby i tak dziecko byłoby bezpłodne (choć przed chwilą ten właśnie argument został omówiony jako nieprawdziwy pod pewnymi wyjątkami). Tak wyglądają niestety tezy eugeników. Na szczęście jest to kompletna bzdura.

Dziś wiemy na przykład to, iż wzrost skorelowany jest z płcią. Oznacza to na przykład, iż hybryda samca lwa z samicą tygrysią, tzw. lygrys jest kotem

gigantycznym, około dwóch razy większym od lwa, czy tygrysa i o ile lew zżera dziennie 5-7 kg mięsa, to sam tygrys zżera ich 15-20 kg. Hybryda zaś samca tygrysa i samicy lwicy, zwana jest tigonem i jest to karzeł. Sugerowanie jakiegokolwiek więc argumentu, że dziecko takiej i takiej formy człowieka nie mogłoby się narodzić z powodu rozmiarów jest więc naukowym absurdem, gdyż aby wiedzieć jakich rozmiarów jest dziecko różnych od siebie humanoidów, musielibyśmy to sprawdzić eksperymentalnie. Takiej możliwości jednak na dzień dzisiejszy nie mamy, a wiemy tylko tyle, iż wzrost skorelowany jest z płcią.

Mając też do czynienia z płodzeniem dzieci, które są hybrydami międzygatunkowymi, ale ich rodzice są owocem kazirodu... jeszcze raz to powtórzę, dzieci nie tylko są płodne, nie tylko wykazują się o wiele lepszymi warunkami genetycznymi, ale też jeśli te dokładnie dzieci już jako dojrzałe ludzie spłodzą dzieci, które również będą owocem kazirodu – również ich dzieci będą miały wyniki genetyczne lepsze od rodziców. Dopiero następne pokolenie kazirodu będzie obarczone problemami z tego powodu, gdyż powinno być bardziej pokoleniem outbredowym. Takie jednak zjawisko występuje w przypadku hybrydyzacji, a sam inbred choć uaktywnia, na dłuższą metę cechuje się ogromnymi problemami i musi zostać uzupełniony przez outbred, który eliminuje błędy i w swoisty sposób „poszerza horyzonty genetyczne”. Z czasem jednak, a wiem to po hodowli gołębi ozdobnych, oraz krzyżowaniu rybek – mieczyka z molinezją, pojawia się problem określenia się „formy jednorodnej”. Również pompa genetyczna ma swój ograniczony potencjał. Zawsze dochodzi bowiem do momentu, gdy

krzyżówka którą otrzymamy może wykazywać się dużą inwazyjnością, czy sama z siebie stanowić zagrożenie, również dla siebie, nawet przez swoją bierność, czy będąc bardzo genetycznie nieokreśloną. Choć sama ta krzyżówka może być owocem wielu hybrydyzacji, to dopiero konkretne posunięcie i konkretna decyzja jest w stanie uczynić nowy gatunek i jako taki musimy pozostawić go samemu sobie w Naturze, gdyż proces ten nie może być prowadzony w nieskończoność. Hybrydyzacja nie jest więc celem samym w sobie i sztuką dla sztuki, ale sposobem na uzyskanie nowych gatunków, zdolnych do „bardziejszego” przystosowania. To bardzo istotne, gdyż krzyżowanie pszczoły afrykańskiej z europejską okazało się tragedią – pszczoły uciekły, okazały się najbardziej inwazyjnymi i agresywnymi pszczołami świata i dziś nauka jest wobec tego faktu bezradna.

Uważam, iż jedynym sposobem w tej sytuacji jest wykrzyżowanie tej właśnie pszczoły (zwłaszcza tych, które żyły na pewnej małej przestrzeni pewnych wysp i okazały się, z powodu inbrodu zapewne, mniej agresywne) ... wykrzyżowanie tej pszczoły z pszczołą indyjską *Apis Cerana Indica*. Po to, aby ostateczna superpszczoła była zdolna wyprzeć poprzednią i okazać się o wiele bardziej pożyteczna i w ogóle nieszkodliwa dla człowieka. Sugeruję się jednak w tej sprawie tylko moją intuicją.

Po prostu hybrydyzacja ma ten jeden ważny aspekt, iż można ją przeprowadzić praktycznie we wszystkich kierunkach. Warunkiem jest jednak to, aby wiedzieć kiedy uzyskało się formę jednorodną, zdolną to współistnienia w Naturze, gdyż formy pośrednie dla samej Natury są niestety albo niebezpieczne, albo też są w niej skazane na porażkę. Nadmienię na

koniec, że na przykład u dużych kotów, lwów, panter, czy tygrysów nie można przeprowadzić jakiegokolwiek formy sztucznego zapłodnienia. Stąd wydaje się, że sama hybrydyzacja dużych kotów, która umożliwiłaby wyeliminowanie plagi świń i królików z Australii może nie być aż tak łatwa. Duże koty muszą się w sobie autentycznie zakochać, aby spłodzić młode, a ich hybrydy najczęściej u samców wykazują się azoospermią, czyli samce są raczej niepłodne. Poniekąd, jeśli mi można coś zasugerować, gdyż np. populacja lwów azjatyckich jest praktycznie na absolutnym wymarciu – spróbowałbym napromieniować parę dużych kotów dawką promieniowania w mechanizmie zbliżonym do radioterapii u ludzi, gdzie u nas robi się to celem usunięcia nowotworów. Z moich obserwacji wynika, iż wygląd ludzi zmienia się po radioterapii i ich skóra nabiera takiego ziemistego koloru, co wrażeniem przypomina mi sposób, w jaki ciało zakochanych kotów reaguje na własne hormony. Sam problem świń australijskich nie jest taki oczywisty. Kiedy próbowano je wyeliminować z Australii szerząc wśród nich choroby – okazało się, że świni te mają wręcz doskonale ukształtowany układ odpornościowy i szybko wyzdrowiały. Proszę to zestawić z możliwością hybrydyzacji i faktem, iż w Europie każda świnia praktycznie co tydzień dostaje wiadro antybiotyków i hormonów...

Choć wprowadziłem Cię drogi Czytelniku w temat, to być może ktoś zapyta, jak to jednak wciąż jest możliwe, według autora, że różne gatunki ludzi się mieszały, dając płodne potomstwo. Do tego potrzebne jest tylko to, że jeśli np. jedna grupa jaskiniowców, żyjąc w wąskim gronie i wydając w tym gronie potomstwo nie uniknęła powielonego najczęściej kazirodztwa,

napadła na drugą grupę żyjącą według tej samej zasady, ale w obrębie np. innego gatunku, to zaszedł warunek pompy genetycznej drugiego rodzaju, czyli kazirodustwo-hybydyzacja-kazirodustwo i wyniki genetyczne znamienicie się poprawiły. Wyprawy wojenne były i są do dziś niestety najbardziej dochodowym interesem, a z punktu widzenia Natury, takie właśnie wyprawy wojenne i gwałcenie kobiet, również innych gatunków humanoidów, zapewniło pełną dywersyfikację genotypu, a więc znamienne poprawę warunków genetycznych co kilka pokoleń. Można mówić „afee”, jednak jeśli człowiek pierwotny jakiegokolwiek formy humanoidalnej nie ruszał na wojnę i nie gwałcił kobiet, to samo życie w jaskini wąskich grup społecznych doprowadziłoby do tak dużego uwstecznienia genów przez incest, czyli kazirodustwo, iż cała ludzkość wymarłaby w ciągu kilkuset lat.

Znaczącym był tu fakt, że człowiek już wtedy żyjąc na prawie całej planecie był różny genetycznie od siebie nawzajem w różnych regionach. Jeśli podróż na 2-5 tys. kilometrów, albo i więcej graniczyła wtedy z niemożliwością – oznacza to, że na tak dużych, albo większych dystansach pojawiały się na podobnych zasadach różne formy humanoidów, zbliżonych do siebie, ale ze ścieżką ewolucyjną idącą w innym kierunku. Oznacza to też, że w krótkim odstępie czasu trudno mówić tu o przenikaniu się tych gatunków, jednak w dłuższym odstępie czasu gatunki te przenikać się musiały, tworząc nowe formy, czasem o wiele bardziej dominujące.

Przypomnijmy, że człowiek pierwotny nie miał roweru, helikoptera, samochodu, czy połączenia Wi-Fi z Internetem, aby randkować i spamować portale społecznościowe wychwalaniem kotleta, który przedwczoraj

ugotował idąc na siłownię. Dziś niektórzy zamienili maczugę na maczetę, a chabetę na zastrzyk sterydów i durnowate tatuaże. No cóż... flety mają dziś swój Renesans! Jednak kiedyś, naprawdę kiedyś było inaczej. Natura będąc zawsze mądrzejszą od człowieka zdecydowała za nas i postanowiła, że zamykanie się wyłącznie w wąskim gronie rodzinnym oznaczałoby wielopokoleniowe wymieranie przez nadmiar tendencji kazirodzczych, choć i nadmiar inbredu byłby jednoznaczny z kazirodztwem, czy powielonym kazirodztwem.

Człowiek jednak poczuł w jakiś sposób potrzebę lepszej organizacji dla lepszego przetrwania i znamienitym tu było pojawienie się tak znaczącej zdobyczy genetycznej, jaką jest poczucie moralności zbiorowej, co umożliwiło powstanie pierwszych struktur większych zbiorowości. Broniących się wspólnie, atakujących wspólnie, utrzymujących się, bawiących się wspólnie... Była to zdobycz na tyle istotna, iż z perspektywy ewolucjonizmu (i tu widać, że są inne formy poprawy warunków genetycznych, jak pompa genetyczna – darwinizm nie jest więc jedynym wytłumaczeniem) przeżywali właśnie Ci najbardziej przystosowani, co przyspieszyło nasz rozwój. Oznaczało to też fakt, iż człowiek zaczął tworzyć struktury organizacyjne umożliwiające zamknięcie się w grupie etnicznej, najczęściej związanej z danym terenem. Zwłaszcza w odległej przeszłości. Również tu, jeśli dana grupa etniczna tworzyła wyizolowane społeczeństwo, a więc powodowała pogłębianie się inbredu, bo nawet w takiej jednostce organizacyjnej żywot grupki ludzi ograniczał się do terenu o promieniu co najwyżej kilku kilometrów, to z różnych przyczyn, czy to konfliktów

zbrojnych, czy nawet zwykłej migracji, cała ta grupa etniczna idąc w pewnym kierunku myśli ludzkiej, zasilana była motorem pompy genetycznej.

Jak? Z jednej strony aktywizacją przez inbred, a z drugiej dywersyfikacją genetyczną przez outbred. Bez tego żadna grupa ludzka nie byłaby w stanie przeżyć i do dziś nasze spojrzenie na to co „obce” ma dwa oblicza. Akceptujemy tylko tych, którzy ze względów poselstwa Natury są dla nas z niewiadomych przyczyn atrakcyjni, a nie jesteśmy w stanie zaakceptować tych, co do których nie wiemy czemu mamy same nieuzasadnione wątpliwości. Funkcjonujemy jako po części zamknięte grupy etniczne, z wewnętrznym kodeksem zasad i choć wielu z nas marzy się lepszy świat, gdzie wszystkie granice zostaną otwarte, to jednak świat w dzisiejszym kształcie nie jest na to gotów (opiszę, kiedy będzie).

Jeśli w społeczeństwach biednych, gdzie rodziny mają dla siebie tylko kromkę chleba i kubek wody, to od zawsze tendencją tam jest to, że za dnia ciężko pracują, a w nocy dzieci robią. Takie społeczeństwa nie mają problemu z niżem demograficznym. W społeczeństwach bogatych ludzie robią wszystko, aby nie pracować, mają dużo, a w ogóle nie myślą o robieniu dzieci. Chcą rozwijać siebie i swoją karierę i to najlepiej jako kawalerowie i panny, bo przecież rodzina to niby obciążenie. Każde społeczeństwo rozwinięte kiedyś spotkało się z tym właśnie problemem i prowadząc politykę imigracyjną, osiągało rezultaty lepsze, a czasem jeszcze lepsze.

Problem tkwi jednak w tym, że prowadzenie polityki imigracyjnej skupionej z jednej strony na próbie zacierania różnic (jestem zwolennikiem hasła „Siła

jedności w różnorodności”), a z drugiej prowadzenie nieodpowiedzialnej polityki imigracyjnej czasem bardzo źle się kończy. Oparcie w przypadku Polski tej właśnie polityki na naszych najbliższych sąsiadach, czyli Ukrainie, bo są praktycznie tacy sami jak my, niczego za bardzo nie zmienia. Odejdą stąd niedługo na Zachód. Adresowanie się do repatriantów, którzy gdzieś tam hen, hen, daleko są i jakieś sto lat temu byli Polakami to też margines potrzeb jakie mamy. Polska dziś musi podjąć odważną decyzję (podzielają to zdanie niektórzy eksperci, komentując to w mediach), aby nie być krajem 40 mln, ale 70 mln obywateli. W związku z tym trzeba stworzyć to właśnie Międzymorze (Intermarie), skupione głównie na krajach Centralnej Europy. Nie chodzi jedynie o dywersyfikację genetyczną, czy o przejęcie kontroli w układzie, który oferuje nam hegemonia niemiecka, ale też jest to jedyny sposób na to, aby Rzeczpospolita Polska będąc dziś czymś lekko więcej, niż lokalnym mocarstwem, idąc za ciosem ustanowiła tutaj blok gospodarczy, będący zaporą dla zawirowań w polityce USA, Rosji i Chin. Jeśli nie wiedzieć czemu nie wolno nam wydobywać naszych, jednych z najbogatszych złóż, a opublikowane na ten temat mapki znikają z Internetu... gdy samego tytanu mamy więcej niż Rosjanie, to przynajmniej pozwólmy sobie być krajem, którego potencjałem są ludzie. Młodzi ludzie, którzy tu dziś mieszkają często niestety stąd uciekają. Kraje, które zrozumiały, iż powinny przybrać taki ekspansywny kurs, wydają się wielu z nas o wiele bardziej „normalne”, niż rodzima macierz. A coś w tej Ziemi przecież jest!

Pozwoliłem sobie na chwilę dygresji, bo przecież nie jest to podręcznik z biologii. Wiemy to, prawie wszyscy i czujemy to, bo widzimy jak to wygląda w innych krajach. Krew raz na jakiś czas mieszać trzeba, a żyjemy w kraju, w którym wychodząc na ulicę widzimy tylko i wyłącznie tę „Królową Śnieżkę”, a biało jest tu tak, jak u Michała Anioła pod pachami. To ten sam kraj, gdzie jak trzeba wykopać dół szpadlem, potrzeba do tego specja od P.R., głównego księgowego, boksera, elektryka i kierowcę ciężarówki. Oczywiście nikt za bardzo nie wie jak to zrobić, a więc wszyscy albo idą na fajkę, albo na grilla, albo udają że coś robią rysując rysunek techniczny dotyczący tego, że wczoraj na hali żarówka się spaliła. Student z tym wszystkim zostaje sam i ostatecznie dziecięcymi grabkami to zrobi, bo mimo iż skończył 10 fakultetów i zna pięć języków, to jednak robi na śmieciówce i zarabia na możliwość wzięcia kredytu we frankach. Tak właśnie wygląda ta jedna wielka „Królowa Śnieżka”, czyli ogólnie jeden wielki... pic na wodę, fotomontaż! Różnimy się genetycznie pomiędzy różnymi grupami etnicznymi i inne spojrzenie, nawet ze względów różnic kulturowych, nawet w miejscu pracy jest czymś, co zwiększa efektywność i daje nowe perspektywy.

Owszem. Nie wszystkie kraje, w których widać zarysowaną politykę obrzydliwie nazwaną przez dzisiejszych neonazistów „multi-kulti” to kraje wysokorozwinięte. Brazylia na przykład ma pewien problem, a na przykład kraj taki jak Japonia, gdzie od zawsze bardziej panują nastroje jeśli nie izolacjonistyczne, to nacjonalistyczne, jest krajem wysokorozwiniętym. Owszem, choć przyczyn takich wyjątków jest wiele. Sama Japonia nigdy

jednak nie osiągnęłaby swojego dzisiejszego stanu, jeśli tamtejszy Cesarz nie zdecydowałby swego czasu o amerykanizacji tego kraju. Co ciekawe Brazylia, jako kraj katolicki nie ma problemu nacjonalizmu, gdyż tam obcym nie był ten, kto był „innego koloru skóry”, ale innego wyznania. USA dla odróżnienia, jako kraj w podstawach zasiedlony przez protestantów w większości podchodził do tej sprawy w sposób odwrotny. Obcym był nie ten innego wyznania, ale ten kto jest „innego koloru skóry”. W Brazylii problem wziął się z pierwotnie ugruntowanego stereotypu, że człowiek wielce bogaty, to człowiek lepszy. To pogłębiło różnice społeczne i zaowocowało dzisiejszymi problemami Brazylii. W USA model „od zera do milionera” sięga natomiast jeszcze czasów początków USA. Tam model protestancki zakładał po prostu, że co by się nie działo, może się walić i palić, ale pieniądze do skarpety odłożyć trzeba.

To jednak dygresja, która jest istotna z punktu promowania przez niektóre media idei, iż Polska jest krajem rasistów. Sam „rasizm po polsku” wygląda tak, że szef skin-headów z mojej miejscowości chodzi po ulicach i słucha Fifty-Centa. Z czym się zresztą nie kryje. Polakom nie będzie jednak prosto drodze zaakceptować imigracji, która wprowadziłaby religie inne, niż te chrześcijańskie, a zwłaszcza islam. Niedawno więc rząd... tak, ten rząd Prawa i Sprawiedliwości na sugestię Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce postanowił przyjąć do Polski imigrantów z Filipin. Na świecie jest ponad 200 mln prześladowanych Chrześcijan i nie ma się co oszukiwać. Jeśli nikt im realnie nie pomoże dając dach nad głową, pozostaną to ludzie spisani na

straty i z bronią przyłożoną do skroni, wciąż deklarując swą religię, niestety zginą.

Niektóre postawy polityków, a zwłaszcza te, które docierają do naszego społeczeństwa z komentarzami tabloidalnych mediów są jednak wciąż żenujące. W polskiej polityce albo panuje spór plemienny pomiędzy partią człowieka, który dostał z Niemiec na meble do biura poselskiego i dzięki temu stworzył jedną z największych „partii wykształciuchów”, że nie powiem gorzej... z plemieniem człowieka, który obsadza na najwyższych stanowiskach bibliotekarzy, farmaceutów, czy też innych ludzi o takich kompetencjach, iż nawet tą resztkę biznesu, nie przejętą przez hegemonię niemiecką doprowadzają do ruiny. Co zaś się tyczy tych pierwszych – dla nich Polska istnieje tylko na papierze i nie tylko sprzedaliby za bezcen ostatnią flagę i zanieśli uroczyście kasę do galerii handlowej, aby kupić sobie lepszy zegarek, ale też politykę, a więc sposób sprawowania władzy traktują tak, jakbyśmy my wszyscy, społeczeństwo Polski, przeszkadzali reszcie świata. Ci mniej kompetentni przynajmniej się starają, a więc o wiele więcej im wychodzi. Co pozostaje? Egzotyka polityczna, która jest na tyle populistyczna, że partia uchodząca za śmietankę ekonomistów nie potrafi dodać słupków na kartce, a partia ludzi wyluzowanych ma jedno osiągnięcie. Wprowadzenie najbardziej brutalnej mowy nienawiści w parlamencie. Kto to wszystko nam zgotował? Wydaje mi się, że to nie jest słuszne pytanie. Słusznym pytaniem jest to, dlaczego wciąż na to się nabieramy i co w związku z tym? O tym i o trochę podobnym nieco później.

A więc jak to jest, że jak tą krew wymieszamy, to jest lepiej?

Mechanizm ten jest dość prosty. Nazywa się synergią. Oczywiście wiemy, że np. Mulaci są w jakiś sposób najczęściej uprzywilejowani wobec Murzynów, czy Kaukazów, na przykład nas Polaków (jesteśmy narodem jednolitym etnicznie i homogenicznym kulturowo). Nawet w najbardziej bzdurnych pijackich konfabulacjach przy grillu, raz na jakiś czas pojawia się wątek, często nawet nie wśród młodych ludzi, ale też starszych, że jednak chciałoby się tej Murzynki. Jeśli jednak miałyby być muzułmanką, to jest to wykluczone. Potrafimy znaleźć każde absurdalne uzasadnienie dla tej rzeczywistej tendencji, ale jednak, mimo wszystko mieszkańca Europy Centralnej ciągnie do Afroamerykanów. Azjatów ciągnie do Latynosów, Żydów do Indian, a Skandynawów do mieszkańców Oceanii, czyli głównie rdzennych mieszkańców Australii i Nowej Zelandii. Rosjanie są tu wyjątkiem, gdyż najbardziej ciągnie ich do Brazylijczyków. Jakoś zdajemy sobie sprawę, że oprócz tego, że tą krew trzeba jednak wymieszać, bo choć zdajemy się nie dostrzegać, iż w okolicy pojawia się coraz więcej chorób genetycznych, to jednak chcielibyśmy czegoś wyjątkowego, czegoś tylko dla nas. Chcielibyśmy racjonalnej polityki imigracyjnej państwa nastawionej na nasze unikalne potrzeby. Nie jesteśmy w tym oczywiście wyjątkami, gdyż podobnie myślą nasi „współplemieńcy”, a część z nich wyraża to na przykład w sztuce.

Większość rodziców ma to do siebie, przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, iż chciałaby, aby ich dzieci prezentowały sobą więcej, niż oboje rodziców razem wzięci. Takie $2+2>4$ jest oczywiście możliwe, ale nie dla wielkości ilościowych, ale dla wielkości jakościowych. Oprócz tego, że

wymieszanie krwi najczęściej daje bardzo pozytywne rezultaty, to jednak zawsze należy pamiętać, iż są połączenia „preferowane”, co wytłumaczę na przykładzie chemii i farmacji.

Naukowiec konstruuje cząsteczkę, która ma być lekiem, zdaje sobie sprawę z jej potencjału. Zawsze jednak próbuje poddać ją wielowariantowej modyfikacji i choć wiele prób kończy się niepowodzeniem, dochodzi w końcu do wniosku, że podmienienie jednej zwykłej grupy -H na grupę -OH daje np. 57% wzrostu pożądanego przez tego naukowca efektu. Choć dodał mało, gdyż tylko jedną cząsteczkę, ale we właściwym miejscu, to jednak uzyskał efekt o wiele większy i ważniejszy, niż koszt dodania jednego atomu w masowej produkcji tej cząsteczki. Powstaje z tego lek. Lek ten, stworzony przez chemika zyskał załóżmy olbrzymią aprobatę, jednak korporacje farmaceutyczne zdecydowały, że najlepiej, jeśli nie będą go sprzedawać jako leku na receptę. Byłoby to możliwe tylko i wyłącznie przez drastyczne zmniejszenie dawki. Takie jednak zmniejszenie dawki, która spowodowałaby utracenie wszelkich ważnych właściwości tego leku. Korporacje jednak nie ustały i przeprowadziły badania, w których konkurowały. Kilka kolejnych korporacji, niezależnie od siebie, dodały do tego samego leku inny lek, choć prawie wszystkie dodały ten sam dodatkowy składnik. Uzyskały tym samym na tyle lepszy efekt, że lek bez recepty okazał się o wiele skuteczniejszy od leku na receptę. Jedna z korporacji się „wybiła” i dodała jednak inny składnik, inny dodatkowy lek, tym samym osiągając podwójnie lepszy efekt od całej reszty konkurencji. Nie tylko nie jest to fikcja, ale tak wygląda od czasu do czasu prawdziwa

farmacja. Wtedy kiedy nie skupia się tylko i wyłącznie na robieniu ludzi w bambuko i nabijaniu kabzy - Jak Pan mówi? „Pa... pa... pa... Pavulon Ultra Forte Max z podwójną formułą brylantowych końcówek koniczyny od Cinquecento?? Muszę kupić mojej teściowej, bo już coś ją łupie. Szkoda, żeby kobita się męczyła”.

Jako Fizyk z pasji powiem coś, czego raczej nigdy się nie wyrzeknę. Przestrzeń jest pusta, materia nie istnieje, a rzeczywistość jest czarno-biała. To, jak napisałem tą książkę, cała ta maniera, potok nieweryfikowalnych tez i budowanie na nich napięcia miało spowodować, że Ty, drogi Czytelniku będziesz się raz na jakiś czas w większości przypadków ze mną nie zgadzał, a wręcz kłócił. Zainspirował mnie do tego sąsiad, bo gdy czytając książkę na dworze powiedziałem mu, iż nie zgadzam się z autorem, zażartował, abym robił to po cichu.

Również jako Fizyk z pasji wytłumaczę się z tego pozornego chaosu informacyjnego, który miał służyć pewnej konkretnej sprawie. Otóż wielu Fizyków, również zajmujących się teorią chaosu (dla mnie Fizyka w dzisiejszym kształcie nie daje odpowiedzi i aby przejść do kolejnego etapu należy stworzyć coś, co nazywam „językiem abstrakcji”) zauważa, iż w pewnych sytuacjach chaos sam się organizuje, często dając jakąś konkretną, nową i bardzo potrzebną jakość. Jest to fakt potwierdzony wielokrotnie w eksperymentach naukowych, poniekąd brak jest spójnej teorii, a nawet jakiejś przybliżonej idei jak podejść do tej sprawy.

Sprawa jest oczywiście bardzo prosta. Można i trzeba powiedzieć tyle, iż „stany rozmyte stabilizują się”. Oznacza to między innymi tyle, że jeśli w danej zamkniętej przestrzeni mamy do czynienia z szeregiem obiektów, które zdają się w większości nie mieć wspólnych cech i jako takie nie mogą być raczej ze sobą połączone w jedną całość, co oznacza chaos w tej przestrzeni (część obiektów może być statyczna, część dynamiczna, a część na przykład nie przystawać ani do takich, ani do takich), to jedynym co musimy zrobić, to przez powtórzenia próbować rozbić te objekty. Z czasem krótszym, bądź z czasem dłuższym, zaczynają one tworzyć pewnego rodzaju maź (może to być i maź pojęciowa), a jako taka maź, jest ona stanem rozmytym. Dopiero taki stan ma właściwości samoorganizacji i stabilizując się daje nam nową jakość. Jakość, czy byt na tyle osobliwy, iż możemy wykorzystać go do naszych celów nawet jako środek w osiągnięciu czegoś, na czym nam zależy.

Aby więc przejść do określenia tego, czym naprawdę jest nacjonalizm, zafundowałem Ci drogi Czytelniku swego rodzaju maź pojęciową w konkretnym chaosie teorii i dopiero teraz wyraźnie to widać. Powiedziałem tak dużo, iż chyba nie poruszyłem tylko problemu syna muła i rozwielitki, choć już teraz zapewne dostrzegasz, że był w tym pewien zamysł. Zresztą dość jednolity w swej różnorodności.

Nacjonalizm. Czym więc jest? Czy potrafimy wyzbyć się zbiorowej ksenofobii dziś, już w wieku XXI? Dlatego, iż nie jesteśmy już ani gadami, który wynalazły nienawiść, ani raczej w niczym organizacyjnie nie przypominamy społeczności jaskiniowców? Przecież ta sama zbiorowa

ksenofobia, a więc również nacjonalizm zdecydował o brutalnych gwałtach podczas wojen, które zdywersyfikowały nasze geny i pozwoliły nam na przetrwanie. O ironio! Nacjonalizm, wyrzekając się jakiegokolwiek mieszania się krwi, tak naprawdę te właśnie mieszanie krwi umożliwił i bez tego nacjonalizmu mieszanie krwi nie byłoby możliwe. Bez tej zbiorowej ksenofobii ludzkość wyginęłaby w kilkaset lat, a być może nawet w kilka dekad. Bez dokładnie tej dywersyfikacji genotypu. Pytanie o to, czy jesteśmy dziś lepszym społeczeństwem od społeczeństwa jaskiniowców? Niektórzy powiedzą, że tak. Mamy przecież smartfony, cukrzycę i wojny z powodu kapitału zawartego w środkach energonośnych. Poza tym dzieje się przecież tak dużo. Niektórzy układają piosenki typu „Małomiasteczkowy”. Niektórzy rzeczywiście idą na te studia, bo tak mama kazała, tworząc społeczeństwo, takie jak społeczeństwo polskie, będące w tej kwestii największym potentatem, gdyż w 2020 roku połowa Polaków będzie miała wyższe wykształcenie. Niektórzy udają, że podbiją świat swoim start-upem narysowanym na papierze. A nauka?! Ta oprócz tego, że nie daje z siebie nic, co moglibyśmy położyć na stole, bardzo dużo kosztuje i dzięki niej można trochę pozadzierać nosa. Czy więc jesteśmy inni? A jak cała ta gorycz wygląda w zestawieniu z innym faktem, że według niektórych, uważanych za poważne, grup naukowych ludzkość z powodu jej rozmiarów nie będzie w stanie się wyżywić, a tym samym dojdzie do katastrofy i wszyscy wyginemy? Według tych grup powinniśmy więc „zredukować” jej liczbę. Przy całym nonsensie tej operacji zbrojnej, gdyż scheda po wymordowanych

będzie tak tania, iż o wiele szybciej ludzkość odzyska swe rozmiary i będzie przyrastać jeszcze szybciej. To wszystko na co nas stać?

No właśnie. Jest na tym świecie pewien problem. Tym problemem jesteśmy my, ludzie. Ale nie dlatego, że jesteśmy tacy źli, czy też źli z natury. No... niejeden powie, że ludzie z gruntu są źli! Ale nie chodzi przecież o to, że nie potrafimy wzbić się na wyżyny, zapomnieć o swoim ego, przeprogramować świadomość i żyć w jakiejś utopii hasając po polach nago między barankami w naukowym raju na Ziemi, gdzie we wszystkich szkołach studiuje się najnowsze i jedynie poprawne lektury Dawkinsa. Z tych samych przyczyn, które pokazują jak wiele cech negatywnych możemy z siebie wykrzesać i ile jest wśród nas nienawiści – z tych samych przyczyn jesteśmy w stanie coś dostrzec. Coś bardzo ważnego. Gdy bowiem wszystkie karty zostały już rozdane, gdy każdy wie, że dotknęliśmy już masy krytycznej i nic się już nie da zrobić, to człowiek, humanoid, ten który ma tę zdobycz dwóch nóg, dwóch rąk, brzucha i głowy potrafi upaść, powstać i zginąć za przynajmniej większość z nas. To człowiek, w tej sytuacji, gdy wszystkie karty są rozdane, a sama ludzkość otrzymała tylko te znaczone i co tu dużo mówić, byle jakie karty, potrafi zasiąść do stołu, wyciągnąć pięść i po prostu nią w ten stół uderzyć. A jak i tego zrobić nie może, to wyrzucany przez wszystkie drzwi, wraca oknem. Gdy i tego zrobić nie może, dla frajdy przeskoczy płot, co okazuje się z czasem największym naszym osiągnięciem. Burząc tym samym całą pewność tego, co do czego wszyscy mieli pewność absolutną. Po co?! Aby odbudować to wszystko od nowa! Cegiełka po cegiełce. Nawet jeśli ceną jest spisanie siebie na straty.

My ludzie, homo sapiens, jesteśmy ludźmi z nazwy rozumnymi i tak w większości przypadków się jednak zachowujemy. To, jednak, co odróżnia nas od reszty Natury na tym świecie, to ta zhora buddystów. To fantazja. Człowiek pobity przez neonazistów, dlatego, iż bronił innego człowieka bitego przez neonazistów wstanie. Zapytają go – no i po co? Po co się starasz? Widzisz w tym jakiś sens? On po prostu odpowie – bo mam taką fantazję! Mam taką fantazję, aby tworzyć, obserwować, zdobywać doświadczenie, mieć silną wolę, pewność siebie, szukać wsparcia, cechować się silną osobowością, silnym charakterem i silnym temperamentem... mam taką fantazję. A po tym wszystkim mam taką fantazję, aby dzielić się z wszystkimi tymi, z którymi dzielić się chcę. Bo mam taką fantazję, a ta fantazja odróżnia mnie od zwierzęcia. Powie też – wiem jedno – tylko człowiek rozumny jest w stanie to pojąć.

Czym naprawdę jest nacjonalizm? Odpowiedź padła już na samym początku. Jako zbiorowa ksenofobia nie jest niczym innym, jak nienawiścią do narodów obcych. Tylko tym. To wszystko, co tu opisałem tak naprawdę nie traktuje o tym, czym jest nacjonalizm, albo też słowa te nie powstały, aby nacjonalizm wytłumaczyć i umotywować. Nie. To wszystko, co tu napisałem mówi o tym, czym nacjonalizm nie jest. Nacjonalizm nie jest umiejętnością poddania się w obliczu faktów i próbie dochodzenia swoich racji na rozsądnym gruncie. Tym nie jest. Nie może być więc w żaden sposób jakkolwiek próbą racjonalnych dociekań naukowych, ani też próbą interesowania się światem na najszerszym z możliwych pól. Przecież mamy się w nacjonalizmie interesować tylko tym, co dotyczy naszego podwórka.

Podwórkowe zaś tezy nacjonalizmu są bardzo proste, bo takie mają być. Sam nacjonalizm to przecież teoria podwórkowa.

1. Musimy dbać o nasze i tylko i wyłącznie nasze „gniazdo”!
2. Tu mój kwadracik!
3. Mamy dość swoich problemów i nie potrzeba nam problemów obcych!

W sumie wykreować można całą paralitanię tego typu powiedzonek, ale po co? Jeśli będzie to w kółko jedna i ta sama mowa nienawiści, tak bardzo stojąca w sprzeczności z literalnym wydźwiękiem poprawności politycznej, którą w bujnej wersji funduję Ci drogi Czytelniku w tej książce.

Unia? A po co Unia? Po co centrolewica, konserwatyści, czy liberałowie. Kto by się przejmował, że ktoś tam uważa, iż to jedyne niepopulistyczne poglądy, a tym kimś nie jestem tylko ja? Mamy swoje poglądy, powiedzą nacjonaści.

Pytanie, czy wyjść z Unii? Tak... powie również nacjonalista, który już niedługo miał zafunkcjonować w polskiej rzeczywistości politycznej. Jeszcze bardziej spolaryzowanej, niż dotychczas, bo kontrastem dla tych nacjonalistycznych, rasistowskich i neonazistowskich tez miał być odnowiony autentycznie socjalizm w Polsce. Już zaistniały te oba ugrupowania w przestrzeni politycznej i już wszyscy przybijają piątkę ich argumentom, próbując pokazać, że i diabeł w portkach mydło nosi. Zło jednak nie jedno imię nosi, choć zawsze wygląda tak samo. Choć każde zło zawsze zmierza ku samozagładzie.

Wszyscy istniejemy w tej Europie, a ta skupia się tylko i wyłącznie na tym, iż „establishment” raz na trzy miesiące zmienia dyktando pojęć, treści i

poglądów, pisane przez ogół lobbystów. Na tej samej bowiem ulicy, na której znajduje się Parlament Europejski funkcjonuje około 2000 firm lobbystycznych. Nikt nie przejmuje się tym, że oczywiście można mrozić postęp technologiczny, ale postępu społecznego już raczej się nie da. Unia Europejska w swych podstawach jest federalistyczna, ale unitaryzm i tendencje niepodległościowe spuściła do lamusa. Niesłusznie. Innymi słowy każda jednostka w Unii jest podporządkowana pod główny zarząd. Unitaryzm oznaczałby, że państwa miałyby prawo lokalnie się zrzeszać, nawet dla celów gospodarczych. Oczywiście Francja i Niemcy mimo wszystko „na legalu” to robią, ale projekt Międzymorza nie tylko został poddany szerokiej krytyce, ale też został potępiony. Niemcy w tym wszystkim powiedziały, że też się chętnie przyłączą, jednak wszyscy wiedzą dlaczego. Jako największy gracz będą mogły hamować jego rozwój.

Tendencje niepodległościowe? „Afee” - mówi Unia głosem lobbystów. Gdy państwo zaczyna mówić własnym głosem, lobbyści przestają grać pierwsze skrzypce. Wszystkiemu temu przyglądamy się my, wszyscy. Niektórzy z nas chętniej poddają się więc populistom podającym gotowe propozycje na tacy. Kryzys zbrojny? „Okay”. Tylko najpierw kryzys gospodarczy – takie decyzje zapadają w tych obrzydliwie głębokich skórzanych fotelach, gdzie nikt nie martwi się nawet kosztem farby na drukowanych banknotach. Wojny oczywiście nie ma, a świat uzna rozpoczęcie wojny od ataku na Polskę. Z oczywistych względów. Jednak problem tego, iż Putin generuje kontrowersyjne problemy, aby potem na własnych zasadach je łagodzić pozostaje.

Kiedy wynikł problem z ingerencją rosyjską na Morzu Azowskim, wiadomo było, że politycy wyczerpali już jakiejkolwiek możliwości na załatwienie tej sprawy. Jedynymi, którzy mogli cokolwiek w tej sprawie zrobić była dyplomacja. Wiadomo było, że jeśli ta „nie da ciała”, problem zostanie załatwiony. Poniekąd ze strony UE ograniczyło się to tylko do tego, iż tamtejsza szefowa dyplomacji z pozycji siedzącej wydała kilka oświadczeń potępiających działania Putina. Wszystko.

Tu ciała nie dała polska dyplomacja, zresztą najlepsza od zawsze na świecie. W trybie natychmiastowym cała polska dyplomacja najpierw poleciała do dyplomacji ukraińskiej, a następnie do europejskiej. To oczywiście nie był koniec działań dyplomacji, ale piszę ten rozdział właśnie wtedy, gdy ta sprawa jest na tapecie. Taki niby zły ten rząd Prawa i Sprawiedliwości.

To jednak rząd Prawa i Sprawiedliwości w obliczu sytuacji, gdy Roskim zaczęły „śmierdzieć” nasze jabłka powiedział „okay”... To my teraz sobie pohandlujemy z Afryką. Podpisano więc porozumienia gospodarcze z kilkoma krajami Czarnego Kontynentu. Żeby udowodnić, że nie jest to sytuacja odosobniona dodam, że podobne porozumienie gospodarcze ten sam rząd podpisał np. i z Japonią, czym nie wiem czemu, ale za bardzo się nie chwali. Więcej? Więcej przeczytasz drogi Czytelniku później, gdyż nawiążę również do sukcesów, które mi, jako osoby o poglądach centrolewicowych bardzo się podobają. Za Platformy Obywatelskiej nie było tego oczywiście mniej. Za Platformy Obywatelskiej nie było tego wcale.

Nie pogodzę się z faktem, iż 85% polskiej gospodarki jest w rękach hegemonii niemieckiej, bo co jak co, ale przyznasz, że coś tu jest chyba nie halo, nieprawdaż?

Niemcy mają ¼ emisji CO2 do atmosfery w Europie. Udają, że wycofują się z węgla, ale to zabieg wizerunkowy, gdyż ich węgiel po prostu jest nieopłacalny. Niemcy, największy truciciel Europy, nie wyzbędą się gospodarki opartej na węglu przynajmniej do 2050 roku i będą go sprowadzać albo z Chin, albo z Rosji. Gaz, który sobie prowadzą przez Nordstream-2 też nie jest puddingiem czekoladowym, bo przy spalaniu daje przede wszystkim CO2. Polska ma 1/10 emisji CO2 do atmosfery w Europie. Problem jednak w tym, jak przekonać Polaków, żebyśmy uwierzyli, iż to my jesteśmy największymi trucicielami Europy? Tym samym oczywiście, jak jeden mąż, godząc się na większe restrykcje w stosunku do naszego kraju, gdy inne kraje Europy będą sobie mogły odpuścić. Proste... jeśli się oczywiście ma media. Jesteśmy od niedawna (od dwóch lat dokładnie) rzekomo najgorszym na świecie, gorszym od Chin, producentem smogu. Tylko czekam, aż Premier Morawiecki kiedyś wyjdzie i powie, że u nas się jednak nie pali oponami... tylko bibułą! A czekam tak tylko dlatego, że ktoś ma węża w naszej kieszeni i tym kimś są niestety Niemcy.

Tak wyglądają napięcia w Polsce. Niestety. Nie dostrzegać tego, to być ślepym. Jeśli więc we wszystkich tych absurdach, sprzecznościach i paradoksach ktoś decyduje o tym, aby jakimś nowym egzotycznym i kontrowersyjnym ugrupowaniem nam wszystkim w głowach namieszać, to wzmacnia to tylko przyszły wykwit nacjonalizmu w Polsce. W związku z

tym socjaliści również zacierają ręce. Życie w takiej Polsce nie będzie już możliwe. A coś w tej Ziemi jest!

Czy potrzebna jest nam ojczyzna? Nawet jeśli ludzkość dożyje czasów, gdy budynki będą zmiennokształtne, a więc mieszkać będziemy mogli dowolnie, według oprogramowania na smartfonie, to jednak każdy z nas będzie miał ojca, mamę, rodzeństwo i w ogóle rodzinę. Potrzebujemy przynależć, bo choć wiele w nas jest cech, których nie lubimy, albo co do których nie potrafimy się przyznać, gdyż są problematyczne, to tego skrawka osobistej przestrzeni, strefy komfortu, zapewniającego nam bezpieczeństwo, zabawę i korzyść potrzebujemy. Potrzebujemy nawet po to, aby być rozsądnymi, rozważnymi i zapewnić sobie stabilizację. Potrzebujemy więzi z tym, co nas zespala, a więc potrzebujemy i rodziny i ojczyzny i narodu i również patriotyzmu. Potrzebujemy po prostu kochać to co nas zespala, a choć miłość ta jest czasem trudna i nie zawsze wzajemna, to zawsze musimy się zobowiązać do tej miłości dojrzeć. W interesie każdego z nas. Jeśli to się uda, jeśli każdy z nas zrozumie, iż dorósł do tej prawdziwej miłości, to zrozumie też że nie opiera się ona na nienawiści do tego, co kochają inni. Nie polega na nacjonalizmie, ani żadnej innej zbiorowej ksenofobii. Wtedy też każdy będzie mógł spojrzeć sobie w niebo i dojść do wniosku, że wszystkie gwiazdy świecą razem... i pewnie w kosmosie też są jacyś fajni ludzie...

Rozdział II

Płaszcz Arogancji

Propozycja Preambuły Konstytucji Rzeczypospolitej Polski

My Naród, wolny, niepodległy i równy wobec prawa, w obliczu nowych wyzwań, jak i pamięci po naszych przodkach stanowimy najwyższy akt prawny Konstytucję Rzeczypospolitej Polski.

Podejmując odpowiedzialność za lepsze jutro zobowiązujemy się strzec racji, praw i argumentów wszystkich tych, którzy tego potrzebują, będąc jednocześnie świadomymi zagrożeń płynących z braku tej odpowiedzialności.

Troska o wspólne dobro nakazuje nam dokonywać wyborów uniwersalnych, prawdziwych dla każdego obywatela Polski, a nasza przyrodzona godność zobowiązuje nas do wspólnego konstruktywnego dialogu.

autor